

Zdaniem adwokata

W Ciechocinku mamy wiosnę, setną rocznicę powstania Towarzystwa Przyjaciół Ciechocinka, setną rocznicę ukazania się pierwszego numeru „Zdroju Ciechocińskiego” oraz emocje wokół lustracji. Lustracja przyćmiła wiosnę i tak ważne dla miasta rocznice. Tak jest jednak zawsze, gdy polityka przesłania nie tylko wiosnę, ale i wszystko dookoła. Stąd też niekończąca się nostalgia i tęsknota do czasów belle époque, gdy po ciechocińskim parku Zdrojowym spacerowały wytworne damy w długich sukniach i kapeluszach przypominających rajskie ogrody, a wraz z nimi eleganccy panowie i dzieci ubrane zgodnie z ówczesną modą, czyli w marynarskie ubranka. Nad miastem zaś, oprócz aerozolu jodu i solanki, niosły się dźwięki walca „Na sopkach Mandżurii”. Walc ten, podobnie jak i walc „Fale Amuru” był hitem sezonu, a wykonywała go, koncertująca w parku Teżniowym orkiestra jednego z elitarnych pułków lejbgwardii carskiej z samego Sankt Petersburga.

Sto lat to niemal cała epoka. Gdy powstawał „Zdrój Ciechociński”, Polska była pod zaborami. Niemal nikt nie wierzył wtedy w odzyskanie niepodległości, tak jak i w wojnę powszechną, o którą, w sposób równie proroczy, co i żarliwy, modlił się Adam Mickiewicz. Dziś żyjemy w wolnym kraju, ale cóż, kiedy wciąż wstrząsają nami upiory przeszłości. Inna rzecz, że sami utrzymujemy je przy życiu, zapominając o własnej godności i nie zachowując należytego dystansu. W tym miejscu warto przypomnieć postać nieżyjącego już dr. Cypriana Sadowskiego, wieloletniego lekarza naczelnego uzdrowiska i prezesa Towarzystwa Przyjaciół Ciechocinka. Doktor Sadowski, legendarny pułkownik „Skiba”, który w 1944 r. w powstaniu warszawskim organizował powstańczą służbę zdrowia, po wojnie był obiektem zainteresowania urzędu bezpieczeństwa. Z tych też powodów w latach pięćdziesiątych przyszedł do niego jeden z jego pracowników z prośbą o radę: - Panie doktorze, UB mnie prześladowa i każe napisać na pana raport, a ja nie wiem, co napisać. Na to dr Sadowski uśmiechnął się i powiada: - Niech się pan nie martwi i pisze, jak potrafi, a jeśli nie będzie pan wiedział, co napisać, to proszę przyjść do mnie i wtedy raport ten napiszemy razem.

Nie wszyscy donosiciele donosili więc z własnej woli, nie wszyscy byli też tak przyzwoici, jak w opisanym wyżej przypadku, a i nie wszyscy inwigilowani mieli poczucie humoru. Nic więc dziwnego, że po upadku komunizmu powstał problem rozliczenia się z przeszłością. Najszybciej to zrobili Niemcy. Ujawnili archiwa Stasi oraz unieważnili doktoraty rozmaitych pseudonaukowców, powielających w swych dysertacjach argumenty propagandy komunistycznej. Tymczasem u nas, mimo nieustającego zapału lustracyjnego, żaden z polityków z pierwszych stron gazet, jakoś się nie kwapi do rezygnacji z doktoratu, który uzyskał, podpierając się Leninem lub wychwalając socjalistyczną praworządność, którą teraz sam kwestionuje.

Niemcy załatwili swój problem sprawnie i błyskawicznie. Tymczasem w Polsce przyjęła się tzw. „dzika lustracja”, czyli wojna na teczki wśród dawnych opozycjonistów, którzy w walce o władzę skoczyli sobie do gardeł i skłócili się na śmierć i życie. Do lustracji takiej włączyły się ochoczo także „młode wilki”, nie mające zastug w obaleniu komunizmu,

ale spragnione kariery i usilnie pracujące nad skompromitowaniem dawnych autorytetów.

Konsekwencją tej sytuacji było przyjęcie nieznanego w żadnym innym kraju modelu lustracji, tj. samooskarżenie. Polega to na tym, że osoby podlegające lustracji mają obowiązek oskarżyć się o współpracę z bezpieką albo współpracy takiej zaprzeczyć. O prawdziwości oświadczenia rozstrzyga sąd lustracyjny, w oparciu o dokumenty sporządzone przez esbeków, a złożenie fałszywego oświadczenia skutkuje dziesięcioletnim zakazem wykonywania pracy zawodowej lub działalności publicznej.

Pozornie sprawa wydawała się prosta, chociaż nie do końca zgodna ze standardami państwa prawa. Nic więc dziwnego, że już wkrótce ujawniły się katastrofalne skutki tego rozwiązania. Wielu ludzi, jak na przykład prezydent Wałęsa, coś tam w przeszłości, pod presją bezpieki podpisali, ale uważali, że sumienie mają czyste, bo nikomu nie zaszkadzili i z organami bezpieczeństwa nie współpracowali. To naiwne przekonanie z reguły nie znajdowało zrozumienia w sądzie lustracyjnym, który w oparciu o esbeckie dokumenty orzekał bezlitośnie, że podsądny jest kłamcą lustracyjnym, co automatycznie pozbawiało go prawa wykonywania zawodu lub pełnienia funkcji publicznych na lat dziesięć. Osobną kategorię podsądnych są ludzie, którzy nigdy niczego nie podpisywali ani na nikogo nie donosili, ale których esbecy, choćby po to by się wykazać, umieszczali w swoich rejestrach lub wymieniali w swoich raportach.

W efekcie powstała sytuacja, że ludzie takiego formatu jak marszałek Wiesław Chrzanowski musieli latami chodzić po sądach, dowodząc swej niewinności, a byli esbecy, w zależności od pozycji społecznej lustrowanych, zaświadczaali o ich winie lub niewinności.

Dopóki przed sądem lustracyjnym stawali niepopularni politycy, wszystko było w porządku. Szum się zrobił dopiero wówczas, gdy w oparciu o esbeckie notatki, przed sądem stanęła prof. Zyta Gilowska. Obrońcą jej był znany adwokat - profesor prawa, który wyraził publicznie obawę, że nie ma pewności, z kim kiedyś wódeczkę pił - co należy chyba rozumieć w ten sposób, że sam teraz nie jest pewien, czy i na niego jakiś esbek nie napisał raportu lub nie umieścił go w swoim rejestrze. Tak czy inaczej, pani profesor nie była

przed sądem osamotniona. Moralnie wspierał ją sam pan premier i publicznie dawał wyraz swej troski o jak najszybsze rozstrzygnięcie jej sprawy. Nadmieniał przy tym, że na podsądną Gilowską oczekuje już przygotowana dla niej posada wicepremiera. Sąd sprawy więc nie przeciągał, wyjaśnił co trzeba i mimo kąśliwego uzasadnienia, oczyścił panią profesor z zarzutu kłamstwa lustracyjnego, co umożliwiło jej objęcie obiecanej w trakcie sprawy posady.

W tym przypadku sprawiedliwość zatriumfowała aż pod niebiosami, ale przecież pan premier nie jest w stanie interesować się każdym podsądnym, a tym samym nie może mu zaferować publicznie, jeszcze przed wyrokiem, atrakcyjnej posady w rządzie.

Zwykły śmiertelnik w takich procesach tłumaczył się zwykle nieporadnie, co wzbudzało wesołość wprawionych w temacie dziennikarzy i w ogóle było wesoło. Przestało być wesoło z chwilą wejście w życie nowej ustawy. Okazało się bowiem, że lustrować mają także dziennikarzy oraz przedstawicieli wielu innych zawodów, a ogólna liczba osób podlegających lustracji wyniesie około 700 000. Wielu ludzi wpadło więc w panikę, bo tak naprawdę, to kto może mieć dziś pewność, że i na niego esbecy czegoś nie wysmarowali? Na uczelniach i wśród dziennikarzy rozległ się zatem lament, bo przecież u nas obowiązuje domniemanie, że wszystko co esbecy wysmarowali, to święta prawda - przynajmniej dla naszych lustratorów. Tak więc nagle przestało być śmiesznie, a stało się, jak to powiadają Rosjanie - strasznie i śmiesznie. Ludzie uświadomili sobie, że nigdy nie ma pewności, na czyje konto esbek z sąsiedztwa rozliczał swój fundusz operacyjny, co tam pisał sobie w notatkach i w czyje usta wkładał zasłyszane gdzieś sensacje.

Nasi lustratorzy nie mają poczucia humoru, a już z pewnością nie czytali Jarosława Haszka, który w słynnych „Przygodach dobrego wojaka Szwejka” opisał przypadek wachmistrza Flanderki, który, nie mogąc zrealizować instrukcji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych o pozyskiwaniu płatnych konfidentów i donosicieli, wymyślił sobie fikcyjnego informatora. Dzięki temu powiększył swój dochód o 50 koron miesięcznie, które przepijał w gospodzie „Pod Kocurkiem”. Inna rzecz, że wachmistrz Flanderka, w przeciwieństwie do naszych esbeków, nie był pozbawiony resztek przyzwoitości, gdyż po dziesiątym kuflu piwa przestawało mu nagle smakować i dostawał wtedy napadów sumienności.

Wracając do naszego modelu lustracji, to już sprawa prof. Zyty Gilowskiej pokazała,

że nie trzeba mieć teczki, by spotkać się z zarzutem kłamstwa lustracyjnego, co bez poparcia ze strony autorytetów oraz udzielających świadectwa niewinności esbeków grozi wyeliminowaniem z życia publicznego raz na zawsze, bo dziesięć lat eliminacji oznacza praktycznie eliminację na zawsze.

Ustawa lustracyjna stała się w ten sposób niezwykle skuteczną bronią, pozwalającą na wyeliminowanie przeciwników politycznych i przypomina upiorną wersję zabawy w „Mam chusteczkę haftowaną”: „kogo Kocham, kogo lubię, kogo pocałuję” - a etykietkę agenta tobie podaruję. Jak łatwo jest u nas oczernić człowieka, dowiadujemy się bowiem z prasy codziennej. Dla porządku należy przypomnieć także kryzys czerwcowy 1992 r. Wtedy to jako agentów SB wskazano prezydenta Rzeczypospolitej Lecha Wałęsę, przywódcę KPN-u i wieloletniego więźnia politycznego Leszka Moczulskiego, ministra spraw zagranicznych prof. Krzysztofa Skubiszewskiego, marszałka sejmu Wiesława Chrzanowskiego i wielu innych.

Ostatnio zagrano teczkami sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Jak zaszła potrzeba, to w jednej chwili znalazły się na nich papiery. Wprawdzie nic nie warto, ale wystarczające, by zamknąć usta niewygodnym sędziom i wyeliminować ich ze sprawy.

Ustawa lustracyjna, zmuszająca ustawowo obywateli do samooskarżania się o współpracę z bezpieką, jest nadal bardzo restrykcyjna dla maluczkich, ale nie przewiduje konsekwencji za szkody, jakie wyrządzili opozycji jej działacze, którzy załamali się w śledztwie i zadenuncjowali swoich współtowarzyszy. Wyglądało to przeważnie tak: Aresztowany w stanie wojennym z walizką ulotek opozycjonista, by wyjść na wolność, nie musiał nawet podpisywać zobowiązania do współpracy. Wystarczyło, że ujawnił swych kolegów, bo przecież musiał powiedzieć, skąd te ulotki ma i komu ma je dostarczyć. Sianem wykręcić się nie mógł, bo bezpieka z miejsca weryfikowała jego prawdomówność, wysyłając radiowozy pod wskazane adresy. Dopiero po takim teście lojalności aresztowany właściciel walizki mógł liczyć na zwolnienie. W świetle ustawy lustracyjnej człowiek taki jest jednak niewinny. Zadenuncjował wprawdzie wielu ludzi, ale oświadczenie lustracyjne złożył zgodnie z prawdą. Przecież nie był współpracownikiem SB; może zatem dziś spać spokojnie i ubiegać się o każdy urząd. Przykład powyższy dowodzi, że nic nie jest tak proste, jak się wydaje. Stąd też czas już najwyższy położyć kres niekończącym się pomówieniom. Otwórzmy wreszcie archiwa i cieszymy się wiosną.

Dawid Binemann-Zdanowicz

POLKORN PIEKARNIA CUKIERNIA



Ciechocinek, ul. Widok 46

CHLEB

BENIAMIN
BORODINSKY
BOROWICKI
CHŁOPSKI, CZARKA
DOMOWY, EURO
FIRMOWY
FIRMOWY SEZAMOWY
FUTBOŁOWY
GRAHAMA
ZE SŁONECZNIKIEM
KANAPKOWY
KOŁODZIEJ, KORNEL
KRÓLEWSKI
KUKURYDZIANY
MARMURKOWY
MNICH, OLIMPIJCZYK
OTRĄBKOWY
OWSIANY
RAZOWIEC 6 NASION
RAZOWY NA MIODZIE



RUSTYKALNY
SŁODOWY Z DYNIA
SOJOWY
STAROPOLSKI
TOSKANA
ŻYTNI JASNY
SITKOWY
WIEDEŃSKI, GOLUBSKI
KOSZYKOWY
POTRÓJNY
RODZINNY, WIEJSKI
METROWIEC
BAWARSKI, BIWAK
DUŃSKI, FIŃSKI
LITEWSKI
RAZOWY ZE ŚLIWKĄ
ZIARNOWIT
ŚW. FLORIANA
TOSTOWY
WIEJSKI ZIOŁOWY
ZIEMNIACZANY

PIECZYWO I CIASTKA